Lwów, 2. Lutego. № 14. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

DWAJ BLIŹNIĘTA.

III.

Uczta weselna.

(Ciąg dalszy.)

Jeszcze gorzej sposępnieli wszyscy, gdy o zmroku stanęli przed dworem w Kryweńce. Nadaremnie dwór ten odnowiono i przystrojono, nadaremnie liczne lampy i kagańce rozlewały w około dzienne i wesołe światło; ta wysoka skała, ten dwór na niej jakby forteca, te mnogie płoty i bramy, które pomału przebyć trzeba było, a w pośród tego ta zdaleka dostrzeżona kładka w górę wzniesiona, stercząca jakby olbrzymi palec grożący, wszystko to razem zwiększyło powszechną wszystkich posępność. U drzwi wchodowych stał starzec suchy, zawiędły, jakby trup przystrojony w katafalkowe szaty, z wzrokiem obłąkanym, z wyrazem dusznej martwoty na twarzy, którą czasem tylko rozjaśniał jakiś odcień przeszłości ciemnej groźnej, przelatujący łyskawicą uśmiechu szyderczego, i złośliwego. Wszyscy się musieli zatrzymać, bo starzec stał w samych drzwiach, i wszyscy musieli długą chwilę przeczekać, nim on wszystkich przeglądnął swym zimnym wzrokiem.

— Gdzież ona? zapytał wreszcie głosem bez dźwięku i życia.

Rodzice Moduni spojrzeli po sobie, i jak wzrokiem tak i myślą zdybali się oboje. I westchnęli oboje na myśl że ich Modunia, wychowana w jasnem słońcu miłości rodzicielskiej, będzie żyć musiała pod mrożącym wzrokiem tego starca uczuć, i myśli ludzkich pozbawionego.

— To żona moja ojcze! przemówił pan Piotr, i przyprowadził Modunię do starca. Poczciwa i rozrzewniona Modnia rzuciła się staremu do nóg, i łkając zawołała:

— Pobłogosław mnie ojcze!....

— Ja bez błogosławieństwa rodzicielskiego poszedłem w świat! zakrzyknął stary nagle — widziałem tylko, jak ich żywcem palili.

Wszyscy zadrżeli; biedna Modunia omal nie zemdlała. Lecz stary wpatrzył się wnet uważniej w synowę. Widok tej twarzycki anielską pięknością i anielską dobrocią nacechowanej, snać rozmiękczył wiekiem i obłąkaniem zakamieniałe serce... O dziwo!.. Zabłysło coś nakształt łzy w oku jego, i położył szorstką rękę na białem jak marmur czole panny młodej.....

— Ty nie cudzoziemka! tyś nasza! wejdź do domu!..

I wprowadził stary synowę, a za niemi weszli wszyscy. Łatwo pojąć że widok starego i jego słowa wzmogły jeszcze to, o którem mówiłem usposobienie. Z pewną rzecby można obawą rozglądali się wszyscy po tej wielkiej sali, którą mnogie światła należycie oświecić nie zdołały, i każdemu przyszły na myśl wszystkie owe dawne gadki o starego Góry dawnej srogości, bogatej w tyle smutnych epizodów. Mimowolnie oglądali się ten i ów, czy gdzie z kąta nie wystąpi jaki świadek oskarżający, świadek tych wydarzeń, których placem ta sama była sala. Bo taka to już natura ludzka!

Póki byli z daleka, wszystkie te gadki uważał każdy za bajki, ale gdy raz weszli do dworu, o którym się tyle nasłuchali, wszyscy zaczęli wierzyć. Podobnie jak bajki o strachach i duchach, tak śmieszne w dzień, wydają się coraz prawdopodobniejsze, im ciemniejsze rozchodzą się cienie; a cóż dopiero, jeżeli się znajdziemy w jakiej starej i pustej komnacie, która miała być widownią podobnych zagrobowych pojawień.

Suty obiad, i niezła muzyka z miasteczka sprowadzona, przygrywająca w czasie obiadu same nuty wesołe, zapustne, zaczęły pomału uspakajać umysły, i naginać je do naturalniejszej w takim dniu wesołości. Już też i gawędka stawała się coraz żywsza; tu i owdzie ozwał się już szczery śmiech, i niejeden koncept wystrzelił na wyścigi z butelkowemi korkami. Już nawet nikt prawie nie uważał na to, że stary pan Góra zwyczajem swoim, przechadzał się swemi po sali wydeptanemi ścieszkami, to po jednej, to po drugiej stronie stołu. Jednem słowem już się wszyscy przyzwyczaili do tego, co im na pierwszym wstępie wydało się dziwnem i niezwyczajnem.

Jedna tylko para państwa młodych zdawała się być smutna i zamyślona. Modunia była nią w rzeczy samej; i jakże inaczej być mogło. W jej myśli tkwiła śliczna, anielskiej słodyczy, i trupiej bladości twarzyczka, którą ujrzała nagle przy wjeździe do pierwszej bramy. Twarzyczka ta mignęła się jej przed oczy za płotem, i znikła, jedno tylko na nią rzuciwszy spojrzenie. Ale to spojrzenie było tak szczególnie słodkie, tak wyraziste, i tak smutne zarazem, że mimowolnie przychodziło Moduni na myśl, ażali to nie jest duch zmarłej matki Piotra, o której smutnem pożyciu we dworze Kryweniekim; i smutnej śmierci niejedno pierwej już zasłynęło. I jakżeż zrozumieć miała

to pojawienie? przyjąć je li za dobrą czy za złą wróżbę. Przy końcu obiadu, chciała się gwałtownie wyrwać z tego stanu rzeczy można pół sennego, i zwróciła się do męża, i teraz dopiero zauważała, że ten wczoraj jeszcze tak namiętnie rozkochany pan Piotr, przez cały ciąg obiadu ani słówka do niej nie przemówił. Wpatrzyła się z uwagą w niego, i na jego twarzy dostrzegła jakiś smutek. Więc wszędzie wkoło niej i w niej ma być smutek, i to w dzień wesela! Zabolało jej serce chwilowym ściśnione kurczem.

— Co tobie mój Piotrze! — szepnęła do niego.

— Moduniu! najdroższa! nie uważaj na mnie!

— Tyś smutny!...

— Nie smutny! nie! ja szczęśliwy! szczęśliwy nad wyraz wszelki!... ale...

— Ale?...

— Nie pytaj mnie najdroższa!... potem ci powiem...

— Czyż tajemnica?... może co złego!... zlituj się Piotrze! powiedz!...

— Nie Moduniu! przeciwnie!... to nic złego!... jak ciebie kocham!... bądź spokojna! za godzinę, za dwie opowiem ci wszystko, i będziemy się cieszyć... odpowiedział pan Piotr przerywanym głosem, a ucho jak i myśl niecierpliwa, wytężone były naprzód, i latały niespokojne za każdym ruchem, latały po za dom, po za salę, po za ucztę weselną, w ciemną i zimną noc.

— Niech żyją państwo młodzi! zawołał jeden z drużbów, młody i wesoły sąsiad Zahorzec!...

— Niech żyją! powtórzyli drudzy podnosząc pełne kielichy.

— Tan! muzyka!... krzyknęli inni.

I hucznym wiwatem zagrzmiała muzyka weselna.

— Co to?... Jezus, Marya!... krzyknęło nagle kilka kobiet.

— Jakiś strzał!... tuż niedaleko!... powtórzały inne.

— To Jankiel uciął tak w bęben! zaśmiali się mężczyźni.

Lecz w rzeczy samej byłto wystrzał, który doskonale usłyszał pan Piotr. I Modunia usłyszała, i spojrzała na męża. Zadrżała biedna na widok dzikiej wesołości, jaka zabłysła na jego twarzy. Chciała krzyknąć, chciała zapytać, lecz czy nie śmiała, czy brakło jej sił?... zamilkła. I zrobił się ruch, gwar; wszyscy wstawali od stołu, a muzyka zagrała tańca polskiego. W środku tego zamieszania pan Piotr wymknął się za drzwi niepostrzeżony od nikogo, prócz Moduni, która pobladła, musiała się zatrzymać o krzesło by nie upaść. I nowym kurczem ściśnięte zabolało serce. Lecz nie był to już kurcz zwyczajny, chwilowy; było to przeczucie złego, które się roztasowało na zawsze w tem jej wczoraj jeszcze tak swobodnem, tak wesoło i zdrowo skaczącem sercu.

A muzyka tymczasem waliła od ucha polskiego tańca. Ta nuta narodowa tyle w nas zawsze uczuć i przypomnień rodząca, rozbudziła nawet starego Górę. Ta nuta narodowa trafiła do jego serca. Wszak on dawniej tak lubił namiętnie wszystko, co było narodowe. I oko jego zabłysło przez chwilę, i zbliżył się do pani Minieckiej, i zarzucając wylot kontusza jak za czasów dawniejszych, za czasów lepszych i młodszych, poszedł z nią w pierwszej parze, a za nim tłumnie i wesoło drużby i drużki, sąsiady i sąsiadki. Między niemi szła także powolnie i poważnie jak na pannę młodą i na taniec polski przystało, szła Modunia, najpiękniejsza ze wszystkich, ale blada okropnie. Gdy przez chwilę przeszła się przez pokój z ojcem mężowskim, była to para najbledsza. Miłośnik fantastyczności mógłby ich wziąć za parę do tego tańca z trumny wydobytych trupów. Lecz przy wzmagającej się wesołości nikt tego nie postrzegł...

— Gdzie pan młody?... ozwało się kilka głosów, które wszakże zagłuszył wnet huczny mazur. Zapomniano wnet o nim, zapomniano o bożym świecie; zebrawszy się jakoś we cztery pary, rozpoczęły się pląsy, te nasze wesołe, narodowe, którym przypatrywał się stary Góra z niezwykłem zajęciem. Modunia nie zapomniała o mężu. Z oczami to wlepionemi w drzwi, to wzniesionemi do góry, modliła się biedaczka, by odwrócić to jakieś przeczute nieszczęście, by wybłagać odwagi do zniesienia jego.

Pan Piotr tymczasem wybiegłszy z domu, wsiadł na dawno już przygotowanego konia, i pogonił przez wszystkie pootwierane bramy na miejsce umówione. Gdy mu Mykita miejsce to naznaczał, przyjął je bez myśli, bez uwagi, lecz teraz, gdy mimo śniegowych zamieci szybkim pędem konia zbliżał się do niego, tysiące cisnęło mu się do głowy przypomnień przeszłości. Wszakże to było miejsce pierwszych z Olanką schadzek; ów wzgórek skalisty, na którym niegdyś Olanka pasła swoje owieczki, i czekała na panicza z miłośnem upragnieniem. I stanęła mu żywo przed oczami ta dawna, pełna życia, wdzięków i swawoli Olanka; i stanęła mu zarazem ta blada, wychudła, palcem zda się już śmierci naznaczona dziewczyna, którą widział przed kilkoma dniami, i której smutną twarz zdało mu się widzieć dzisiaj przy wjeździe weselnym do domu. Zapomniał na chwilę po co w tę stronę się zapędził. Zwolnił biegu, i zadumał żałośnie. Żal mu się, żal nieskończony zrobiło za tą dziewczyną, której wydarł wszystko, i która za to dla niego miała błogosławiące słowa. I przemknęły mu przez myśl słowa jej ostatnie, niezrozumiałe, zawierające jakąś przestrogę. Nie bał się wprawdzie niczego, ani też nic złego nie przeczuwał, ale tak był rozmarzony temi wspomnieniami, iż mu prawie odpadła cała ochota, z jaką gonił by zwalczonego zobaczyć wroga. Była nawet chwila, gdy w mgle nocnej, rzadko promieniem księżyca przerywanej, postrzegł ów tak dobrze znany wzgórek, że chciał już zawrócić. Chciał by nie oglądać tego miejsca, przed którego widokiem wzdrygało

się jego sumienie. Lecz nowy, wyjącym głosem przeciągnął wiatr od gór, i przerwał mgłę na ziemi, rozpędził chmury na niebie, i jasny promień księżyca padł na dolinę, na krzyż po drugiej stronie, i na to wzniesione Olanki siedzenie. A na niem postrzegł pan Piotr postać jakąś nieruchomą, jakby posąg z kamienia. To był Mykita oparty na strzelbie, z oczami wlepionemi w okolicę krzyża. Ten widok zatrzymał pana Piotra, który teraz dopiero przypomniał sobie po co tutaj przybył.

— To ty Mykito?... zapytał głosem obojętnym prawie.

— A juścić ja!... obpowiedział Mykita ponuro. Czekam już dawno!... myślałem żeście może zbłądzili paniczu!... a przecież to miejsce musi wam być dobrze znane! dodał z przycinkiem zimnego szyderstwa.

Panu Piotrowi nadto było przykro i smutno by podniósł to szyderstwo; jakoż chcąc się wrócić jak najprędzej, zapytał go.

— I cóż? nie było go? cóż? udało się?

— Mnie się zawsze udać musi, co ja postanowię! — odrzekł góral z pewną uroczystością. Ot tam jest on już w łapce, z której nie wynijdzie nigdy, ot tam! — dodał i wskazał na krzyż.

Pan Piotr zdumiony spojrzał w tę stronę, lecz nic nie dostrzegł, prócz krzyża czerniącego się na białem tle śniegowem; a pod krzyżem coś jeszcze czerniało, lecz coby to było, z daleka poznać nie mógł.

— No chodźmy! — mówił Mykita dalej; jak przyrzekłem, tak wam oddam teraz czarnego Iwana.

— Pan Piotr zeskoczył z konia, oddał cugle Mykicie i szybkim krokiem pobiegł ku krzyżowi. Nie mógł też dostrzedz jak Mykita, idący za nim puścił cugle po mału, i silnie konia uderzył nogą pod brzuch. Koń z bolu i przestrachu skoczył w górę, a uczuwszy się wolnym, poczwałował nazad ku domowi.

— Co to? — zapytał pan Piotr.

— To koń się wyrwał! poleciał do stajni! już go teraz sam szatan nie dopędzi. To szczęście że spuściłem kładkę myśląc, że pan może wprost pójdzie. Przez kładkę będzie nam bliżej do domu.

Pan Piotr nic na to nie odpowiedział; z całem bowiem natężeniem patrzał przed siebie. I widocznie czerniało coś przed krzyżem, czy to zwierz jaki, czy człowiek? czy?...

— Co to? — krzyknął pan Piotr z wyrazem przerażenia.

— To czarny Iwan! — odpowiedział Mykita zimno.

Przerażenie pana Piotra było naturalne; gdy się bowiem zbliżył do krzyża, poznał że ten przedmiot czerniący się na śniegu, to był człowiek leżący na ziemi. Czarno odziany cały, czarno zarosły, leżał na wznak z oczami okropnie rozwartemi. Ostatnia jego myśl, ostatnie uczucie, i wzrok ostatni musiały bardzo być straszne, miarkując po wyrazie jaki zastygł na twarzy, na ustach i w oku. Bo ten człowiek czarno odziany już nie żył, już nawet zaskrzepła na śniegu krew, która wyciekła z szerokiej rany na piersiach tuż przy sercu. Jedna ręka zabitego trzymała strzelbę, a druga w pięść ściśnięta silnie, zdawało się tym ostatnim ruchem odpowiadać godnie ostatniemu wyrazowi na twarzy.

— To czarny Iwan! już przestał być niebezpiecznym! Głupi! — ja go namówił, żeby tu zasiadł na pana, któregom przyrzekł przyprowadzić, a on nie wiedział, że ja tam za pagórkiem czekałem na niego dwie godzin z moją rusznicą.

— To ty go zabiłeś?

— Więc lepiej może, żeby był pana zabił! — zaszydził Mykita.

— Ależ człowieka bezbronnego zabić!

— To nie był człowiek! to był opryszek.

— To też urząd tylko mógł mieć prawo.

— Ja nie chciał żeby go powiesili! bo to mój brat!

— Mykito! co ty mówisz! tyś oszalał! — zawołał pan Piotr i spojrzał na Mykitę. Zadrżał przed prawdziwie szatańskim wyrazem jego twarzy.

— To mój brat! brat rodzony! bliźniak mój! który wyszedł razem z ojcem ze wsi po śmierci naszej matki! — naszej matki.

— I ty wiedziałeś że to brat twój, i zabiłeś go, aby mnie ratować! To okropnie!

— Tak! tak! aby was ratować! bo prędzej czy później byłby was zabił, a ja tego nie chciał, bo wasze życie paniczu nie do niego należało.

— Powinienbym ci podziękować Mykito! ale brata, brata zabić!....

— On zabił pierwej we mnie wiarę w słowa przysięgi. On mi zwiódł kochankę, i przysiągł na zbawienie duszy, na krzyż święty, na pamięć ojca i matki, że do niej nie pójdzie, i tej samej nocy poszedł do niej. To też nim strzeliłem do niego, krzyknąłem mu: To zemsta brata za fałszywe przysięgi, za Małankę. Patrzcie na jego twarz, znać na niej moje ostatnie słowa! A teraz chodźmy, by nasza piękna pani nie płakała za mężem. (D. n.)

Pan Marek w piekle.

(*Przypowieść szlachecka.*)

Panie Jakóbie! *canonica hora*
Żyjemy z sobą nie dziś i nie wczora,
Byliśmy razem smutni i weseli,
Razem miód pili i razem krew leli;
Co zjedli soli, nieprzemierzyć korcem,
Snuli się niegdyś pod jednym proporcem
Po całym świecie jak po piekle Marek,
Toć miło razem wychylić puharek;
Daj Bóg na starość pocieszyć się zdrowiem,
Ja ci o Marku przypowiastkę powiem:

Ten Marek, słuchaj Jegomość Dobrodziej,
Jak się nazywał i z kogo się rodzi,
Jakiego herbu używał w sygnecie,
Nic nie wiadomo, a świat różnie plecie.
Lecz był to szlachcic, mimo szlachty braci,
Z wielkim się domem jakoś koligaci;
Nie już po mieczu doszedł parenteli,
Lecz się poplątał więzami z kądzieli.
Co mu tak serce próżnością rozłechce,
Że z drobną szlachtą i gadać już nie chce;
Szlacheckie dwory omijając zdala,
Jeno się pany możnemi przechwala.
Zamiast zajadać z dziatkami i żoną
Szlachecki barszczyk ze schabą wędzoną,
I pijąc piwko co się w kuflu pieni,
Pan Marek wzdycha do pańskiej pieczeni,
I do ukłonów stare kości zgina
By spijać męty pańskiego węgrzyna.
Na chudej szkapce, z szabelką u pasa,
Z zamku do zamku ustawicznie hasa:
Tam pan kasztelan wyprawuje gody,
Tam imieniny pana wojewody.
Gdzie brat choruje, tam go ani proście,
On spieszy leczyć ogary staroście:
Dopieroż patrzaj jak wyciąga szyję
I jasnym panom prawi oracye,
Jak ich wywodzi, od dziada, pradziada,
Jak submituje i do stóp się składa,
A jasne pany, zwyczajnie jak pany,
Szlacheckim plecom nie skąpią swej ściany,
Rzekomo szlachtę przyjmują z rozkoszą,
Na szarym końcu do stołu poproszą,
Tam przypochlebiaj, znoś urągowiska,
A przed sejmikiem pan za to uściska,
A na sejmiku swojej sprawie gwoli
Łeb na szablicę nadstawić pozwoli;
Oberwiesz kresę, to ją znoś w pokorze —
Panie Jakóbie! czyż nieprawda może?

Już to po prawdzie, gdy się człek obliczy,
My szlachta lubim ten chleb służebniczy,
Radziśmy w pańskiej ujarzmić się sosze,
Ten mniej, ten więcej, a wszyscy po trosze.
Ale pan Marek w pochlebstwa ferworze
Uboższych nie miał za stworzenie Boże;
Tylko w gospodzie, przy szlachcie poziomej
Lubił wyliczać senatorkie domy,
Z któremi mimo dziurawej opończy,
Albo przyjaźnią, albo krwią się łączy,
Z któremi żyje tak za-panie-bracie
Jakby sam krzesło zasiadał w senacie.
Pan Marek ginął, ciesząc się, że ginie,
Przyjmował pany w ubogiej wioszczynie,
Rad gdy zapasy grosza i spiżarnie
Zjadały pańskie pachołki i psiarnie;
A nigdy w imię braterskiej równości
Kowieńskim lipcem nie uraczył gości..
Jeno nie bacząc, staje czy nie staje,
Sprowadzał z Węgier kosztowne tokaje,
I (co podanie wiarogodne ręczy)
Jakby w kościele palił wosk jarzęczy.
Kominek domu był prawie nieznany,
Wstyd przy ognisku biesiadować z pany.
A głupie zdanie, od świecy jarzącej
Kominek światła i ciepła ma więcej,
A kiedy buchnie, zahuczy, wystrzeli,
Ludzie chcąc niechcąc muszą być weseli;
Zwłaszcza gdy wtórzy do ognia wybuchu
Brzęk szklanic miły szlacheckiemu uchu,
Rodzą się dumki, gawędki, przezdrowie!
Pani Jakóbie! czy ja prawdę mówię?

Prawda? więc jeszcze brzęknijmy w puharek!
Co ja mówiłem?... otóż to... pan Marek,
Lekce szlacheckie poważając rzesze
Czepiał się panów i ku ich pociesze
Nie szczędził karku, trzosa i oręża,
Odłuża wioskę, zdrowie nadweręża:
Przyszła choroba — po krótkiej chorobie
Umarł ze zgryzot i położon w grobie.
Tu nikt nie płakał u grzesznego ciała,
A tam się dusza, do piekieł dostała;
Czy mówiąc grzeczniej (jeśli taka wola)
Poszła na święte Elizejskie pola.
Tam się ognisko niezgasłe rozpala,
Męki Danaid, Syzyfa, Tantala,
Obaczył Marek z przerażoną twarzą.
Ale iż głupców tak srodze nie karzą,
Więc go strażnicza opuściła władza
Gdzie orszak zmarłych cieniów się przechadza;
A był to ogród cienisty, szeroki,
Zawierał gruntu trzy lub cztery włoki,
A kędy lasek, czy kwiecista łąka
Gromada cieniów swobodnie się błąka.
Nie jeden z cieni stając przy sąsiedzie
Macha rękami — snadź rozwohor wiedzie;
Ciała niewidać, lecz kędy cień głowy
Gwar się rozlega poważnej rozmowy.
Pan Marek myśli: „Ha! tu jak na ziemi
„Człek się nagada, będzie żyć ze swemi,
„Jeno potrzeba po dworsku i gładko
„Z jakich się panów połączyć gromadką.
„Ot, kilka cieniów toczy się, jak płynie,
„Znaczno po minie, znaczno po czuprynie,
„Co to za ptaszki i jakie ich pierze:
„Wojewodowie, hetmany, kanclerze!
Jeden cień mówi, „ha! poznaję z mowy,
„To pan Wendeński, starosta grodowy!"
Pomyślał Marek i bieży doń prosto:
„Powolne służby dostojny starosto!"
I cień swej ręki, jak za dawnej chwili,
Do cienia kolan starosty uchyli;
Lecz się starosta nie odkłonił wzajem,
Tylko zachrząknął pańskim obyczajem,
I odszedł dalej nachmurzywszy lica,
Jakby nie widział i nieznał szlachcica.
„Dzisiaj starosta w niedobrym humorze,
„Ot, pan kasztelan, przewita się może;"
Pomyślał Marek i przed cieniem stanie:
„Powolne służby, Mości Kasztelanie:"
I cień swej ręki, jak za dawnej chwili,
Do cienia kolan kasztelańskich chyli;
Ale i tutaj nadaremna praca:
Kasztelan spojrzał i wstecz się obraca.
Więc Marek dalej, wciąż snuje się dalej,

To wojewodzie powitanie pali,
To hetmanowi swoj afekt wymierza,
To się przysunie do pana kanclerza,
Aż łamie ręce, nadaremna rada
Bo żaden z panów i słowa nie gada,
Choć między sobą, gdy się w kółko zgarną,
To słychać śmiechy i rozmowę gwarną.
Simili gaudent, każdy równej głowie,
Panie Jakóbie! czy to złe przysłowie?

Marek w rozpaczy, boć to męka szczera,
Język się gwałtem gawędki napiera,
I wszyscy gwarzą, i wszystkim tak błogo,
On nie ma słowa wyrzec do nikogo.
„No, myśli sobie, po takiej nauce,
„Już ja do panów nie rychło powrócę.
„Ot tam pod cieniem cedrów i oliwy
„Szlachecki sejmik, ale jaki żywy!
„Jaki gwarliwy! po zakroju znaczno,
„Że zaraz bić się i zapijać zaczną.
„Do szlachty, Marku! do swoich podążym:
„To cześnik żwawo rozprawia z chorążym,
„Wojski ze skarbnym do bitwy stanęli,
„Już się krzyżują cienie karabeli,
„A Rejent znaczno już cięty po trosze
„Woła do szlachty: *uciszcie się, proszę!*
„Oto pan Miecznik naprzeciw mnie kroczy,
„*Czołem Miecznika!*" — rzekł Marek ochoczy.
Ale Ensifer, zkąd taka niełaska?
Wąsa zakręcił, czuprynę pogłaska?
I rusza dalej nasrożywszy lica,
Jakby nie widział, nie słyszał szlachcica,
Czegoś nie wesół, niech sobie się złości.
„*Panie Rotmistrzu, mój pokłon waszmości!*
Zawołał Marek; ale próżna praca.
Rotmistrz pomruknął i wstecz się obraca.
Więc Marek dalej, wciąż snuje się dalej,
Czy go nie widzą? czy go nie poznali?
Kogo powita, do kogo zawoła
Wszyscy od Marka odwracają czoła,
Kogo chce ścisnąć, wymyka się ręka,
Naprózno woła, zaklina uklęka
I błaga cieniów: „*Szlachcicowie mili!*
„*Byście choć słówko przemówić raczyli,*
„*Przyjmijcie brata, nie karzcie surowo!*
Lecz cienie tylko potrząsają głową;
A gdy upada, gdy do nóg się ściele,
Oni wzgardliwie brzęczą w karabele.
Ot jak mu płacą i dobra zapłata:
Bo kto się hardo wymykał od brata,
Niechaj na zawsze odrzucon zostanie.
Panie Jakóbie! czy to słuszne zdanie?

„Niech licho bierze szlachtę od Waszeci,
„Na złość herbownym przystanę do kmieci!"
Zawołał Marek już zły co się zowie.
Tam wedle zdroju siedzieli kmiotkowie,
Kiwa coś głową pracowita tłuszcza,
I z krótkich lulek dym kłębem wypuszcza.
A cienie gwarzą: „Ej, panie sąsiedzie!
„Bóg raczy wiedzieć jak się dziatwie wiedzie,
„Za naszych czasów głód pukał do chatek,
„Na święty Marcin i czynsz i podatek,
„A grunt jałowy nie użyźnić pracą,
„Boże, mój Boże, czemż oni wypłacą!?"
Tak sobie gwarzą ubodzy włościanie,
Gdy się pan Marek zbliżył niespodzianie.
Ale na widok pańskiego kontusza
Cała gromada z miejsca się porusza,
Kłania się nisko przed obliczem pana,
I wstecz ucieka jakby rozegnana.
Bo widzisz Aspan, że chłopska gromada
Sercem ze szlachtą dzielić się nie rada,
Wie żeśmy o nich nie wielce ciekawi,
Czy złe czy dobre w głębi serca dławi.
Bo taki narów już mają ludziska:
Trzeba zasłużyć nim ufność się zyska,
Współczucie bywa współczucia zapłatą.
Panie Jakóbie! a co Waszeć na to?

Marek zębami aż zazgrzytał wściekle,
Dalej a dalej snuje się po piekle,
Od chłopskiej ciżby ucieka na stronę,
Gdzie chodzą pany Jaśnie Oświecone.
Gdy jasne pany gadać z nim nie raczą,
Znowu się kryje za ciżbę wieśniaczą,
A kiedy kmiotki uciekają przed nim
Idzie się kłaniać szlachcicom sąsiednim;
Lecz odepchnięty od szlachty i kmieci
Na nowo panom swe służby zaleci.
Gdy tak się snuje od grona do grona,
Mijają lata, wieczność nieskończona,
Wszyscy się cieszą ze swemi w gawędzie,
A Marek wiecznie pokutować będzie.
Od wszystkich spotkań szmerem pośmiewiska,
Nikt go nie pozna, ręki nie uściska,
Żaden go z braci nie uzna za brata.
Panie Jakóbie! czy słuszna zapłata?

Pewna pobożna niewiasta w klasztorze,
Miewając we śnie objawienia Boże,
Między innemi widziała w zachwycie
Marka po śmierci opłakane życie;
Jako na siostrę zakonną przystało,
Słowo do słowa historyę całą
Spowiednikowi wyznała przy kratce,
Potem do ucha przełożonej matce,
Potem siostrzycom, przez usta niewieście
O Marku w piekle zagadali w mieście
I w całym kraju; a na tej osnowie
Pomiędzy ludźmi powstało przysłowie:
Że kto się snuje od kąta do kąta
Mówią: „*jak Marek po piekle się plącze.*"
Ludziom śmiech tylko, niech śmieją się zdrowi.
A tam boleśno, boleśno Markowi,
Wyspołeczniczenie od swoich ponosić.
Ej, u nas takich grzeszników jest dosyć!
Niech Bóg im chętkę pochlebstwa odbierze,
Panie Jakóbie! zmówmy trzy pacierze.

Wł. Syrokomla.

dnia 22. grudnia 1853 r.

Pan Zygmunt w Hispanii.

(Dokończenie.)

Tu powieść przybiera postawę poważniejszą, historyczną; bo widziemy obok Don Karlosa, z lekkiemi szkica-

mi jenerałów owoczesnych, Gomeza, Kabrery i t. d. Pan Zygmunt włazi tam jak Piłat w credo, poznaje Fernandę wolną zupełnie, otoczoną hołdami oficerów, których zdania polityczne jak już wiemy, podziela zupełnie; lecz co gorzej dowiaduje się, że Donna Fernanda, jest księżniczką Donną Julią, i ma męża, który ma przyjechać, i z którym ani chwili nie żyli, bo to właśnie ożenienie było jednym z powodów nienawiści i zamachów braterskich. A najgorzej, że poznany przez księdza, wykryty, wzięty za szpiega, w kajdany okuty, ma już tylko szubienicę w miłej perspektywie, z której tem trudniej przyjdzie mu się wywinąć, że Cabrera jest amatorem podobnych exekucyi. Księżna Julia miała czas napisać do niego, zaklinając, by tajemnicy owej burzy na morzu nikomu nie zdradził, lecz czy go kocha, tego taki polak, oczywiście *simplex servus dei*, i my czytelnicy polacy także zrozumieć nie możemy. I Hiszpanka podobno sama siebie nie rozumie, bo są chwile, w których pomna na własną słabość, i słodkie chwile przepędzane w czasie burzy nawalnej, kocha niby biednego polaka; a są znowu inne, w których przemaga duma Hiszpanki, żony i córki granda, i prawie nienawidzi tego do którego wiąże ją jakaś nić tajemnicza. Niebezpieczeństwo Zygmunta ogromne; ale po części pobudzony przez Julią, jakiś poważny i wspaniale oddany biskup, po części jakiś wiarus polski, zawzięty mazur, jak się pokazuje z z dóbr stryja Zygmuntowskiego, niedobitek z napoleońskick zastępów, poległych gdzieś pod Sera-Kozą (wedle mazurskiego dialektu,) po części przypadek ratują bohatyra naszego, iż wraca cały, lecz niezastaje przyjaciela Anglika, który tymczasem czekał na niego pod jego nazwiskiem. To nazwisko i podobieństwo twarzy i ubiorów sprowadziło nową katastrofę. Naczelnik Nawarra dowiedziawszy się zapewne o nocnych pogadankach Zygmunta z Ildefonsą, napadł na Posadę i porwał Anglika, mającego za cudze grzechy pokutować. Zygmunt przyprowadzony do rozpaczy, i coraz więcej pozbawiony sił przez swą szaloną miłość do Julii, z zwiększoną jeszcze siłą namiętnej pamiątki, chce jechać do Francyi, gdzie go za rok powołuje nowy list Julii. Lecz cierpienia moralne przyprawiają go o gorączkę tyfusową, na którą omal nie umarł. Tu nowe występują figury; Hiszpańczyka zarozumiałego, i nie bez talentu, ale leniwego, żądnego życia łatwego, który gdzieś tam na teatrze wyświstanym został, za to, że przemieniał Kalderonowskie wiersze na scenie, i Irlandczyka, jenerała w wojsku Chrystynosów poczciwców jakich mało. Bohatyr ozdrowiawszy włazi w nowy kałabałyk; zostaje przypadkiem żołnierzem Donny Izabelli, bije się jak to Polak bić się lubi, to jest prawdziwie *con amore;* wali Karlistów jak kapustę, zostaje kapitanem, poznaje jenerała, który jak się potem pokaże, jest owym bratem Donny Julii. Nowe kolizye, bitwy, mordy, gwałty, pożogi; nasz bohatyr rznie tam gdzieś pałaszem przez twarz męża Julii; poznany przez jej brata, jako jej wybawiciel z klasztoru dostaje się powtórnie do kozy hiszpańskiej, z której go własny przemysł i ów Irlandczyk ratuje, i pakuje na statek płynący do Francyi południowej. Tu następuje najpiękniejszy, bo prawdziwy i prawdziwie polski ustęp tej powieści, po większej części hiszpańskiej. Zdybuje w południowej Francyi Litwina. Zygmunt i Witołd postawieni obok siebie są prawdziwe typy Polaków i Litwinów, tułających się po obczyznie. Kto widział ich kiedy we Francyi pozna od razu te typy. Podczas gdy Polak mazur z zasobami talentów i zdolności, marzy, próżnuje, wojuje bóg wie o co, i bóg wie za co, goni za utopiami, kłóci się o nie, jakby o kawał życia, i marnuje czas, siły i życie bez indywidualnej i ogólnej korzyści, chociaż zawsze z chęcią dobicia się tej ostatniej, i dobija się na końcu przesycenia moralnego i nędzy fizycznej; Polak litwin, ów Witołd n. p. z małą i suchą wyobraźnią, talentami niewielkiemi, trzydziestoletni już wachmistrz, bierze się do nauki lekarskiej, pracuje jak murzyn, nie spi, nie je, a tem mniej nie marzy, zdaje eksamina, upada w nich, i przecie się podnosi, aż nareszcie przezwyciężywszy trudności olbrzymie, zostaje lekarzem, i dobija się niepodległości społecznej i majątkowej. Tu już powieść szybkiemi krokami przeskakując nie dnie, ale miesiące i lata dąży do końca. Nowe zdybanie Zygmunta i Julii, kochanej zawsze przez niego z namiętnym uporem próżnującego marzyciela. Julia jest z mężem, który także usycha z miłości niedzielonej, a przynajmniej nie tak dzielonej, jakby on sobie życzył. Oboje są podobnie Zygmuntowi, wygnańcami, tułaczami. Bo stronnictwo karlistowskie upadło, a rozbitki, jak wszystkie rozbitki walk stronniczych, pokutują w obczyznie, za święte silne przywiązanie do zdań wyssanych z piersi matki, odziedziczonych po ojcach i dziadach. Nowy list odbiera od Julii, smutny, tęskny, czuły i błagający by się uspokoił, korząc się przed żelazną zaporą konieczności. Lecz gdzież kiedy taki jak Zygmunt, syn swych ojców, dziedzic krwi i pamiątek dziadowskich ukorzył się przed koniecznością, choćby najpraktyczniejszą; biedny marzyciel kocha, zmęczony walką głowy i serca, traci resztę sił żywotnych, traci ochotę do życia. I on, co niegdyś przemarzył cudne złudzenia o liberalnych utopiach, idzie do Algieru mordować Arabów, uciekających z skały na skałę, z puszczy na puszczę przed uciskającą ich cywilizacyą. Poraniony, pokaleczony, zestarzały, nieuzyskawszy nawet krzyża, za którym wzdychał po polsku, wraca do Paryża, gdzie zdybawszy owego Hiszpana, poprawiającego Kolderona, który teraz wynalezionym przez siebie hydraulicznym szuwaksem szwarcuje buty paryzkim błotem zachlapane; on maluje aby żyć mógł, portrety najgłupszych twarzy kramarskich, a nawet szyldy najpośledniejsze. Lecz maluje prócz tego i jeden obraz dla siebie, który chciałby by wraz z jego ciałem (pragnie bowiem śmierci) zawędrował do jego rodzinne

ziemi, do rodzinnej kaplicy. Obraz ten, ma to być summa jego żywota przemiotanego w namiętności, jest to ostatnia i jedyna pamiątka co mu z lat tylu pozostała. Jest to obraz świętej patronki Norbertanek, a razem portret owej bladej, smutnej i tragicznej z za kraty pojawionej Fernandy. Lecz by obraz był wierny, trzeba mu jeszcze twarzy dziecinnej aniołka. Chodzi po ogrodzie tuleryjskim, tem zbiegowisku dziatek, i postrzega dziewczynkę, która przez uczucie czy estytyczne, czy sympatyczne, silne na nim robi wrażenie. Nie może od niej oczu oderwać, patrzy i patrzy, i coraz żywiej bije jego serce. Oddał z pamięci te cudne rysy, godne aniołka i jakież było jego zdziwienie, gdy po języku przemawiającej dozorczyni dziecka, poznał że to jest dziecko hiszpańskie. Obraz oddaje na wystawę ale go przedać nie chce za żadną cenę, bo to obraz krwią serca malowany. I w Paryżu, gdzie się wszystko zdybuje, co tylko człowiek zdybać może, postrzega tłuściutkiego mężczyznę z głową podłysiałą. W nim poznaje przyjaciela Anglika, który się nie tylko wyratował z rąk Nawarry, ale zabrał mu córkę żeniąc się z nią, i rozbroił i nawrócił wielką część teściowej bandy. Kupiec obrazu sprowadza go nareszcie do domu skromnie ale z gustem ustrojonego. Właśnie jedzie kobieta. Ta kobieta jest Julia, zawsze ładna nad wszelki wyraz, z tem samem spojrzeniem, które z piersi Zygmunta wyssało wszystkie siły, wszystkie jego marzenia, całą jego przeszłość i całą przyszłość. Julia jest wdową i kocha Zygmunta. Wyznaje mu sama tę miłość, i narzuca mu się prawie. Lecz w ubogim szlachcicu polskim harda dusza siedzi. On stary już, pokaleczony, malarz szyldów kramarskich, ubogi, nie jest mężem dla pięknej zawsze, młodej i bogatej hiszpanki. W tem wbiega dziewczynka śliczna jak aniołek. To ta dziewczyna z Tuileriów, co tak gwałtownie wzruszyła serce naszego rodaka. To biedne dziecko nie zna matki, nie zna ojca. Czy chcesz mieć ojca i matkę? pyta ją Donna Julia. Dziewczynka z pojętną twarzyczką, o dwóch typach namiętności i marzenia, połączonych razem, wyciąga ręce ku tym tak dawno i tak serdecznie pożądanym rodzicom. Klęknij przed tym panem, mówi piękna hiszpanka, i błagaj go by ci oddał i ojca i matkę. Biedny Zygmunt przełamany w swym uporze, przyciska do serca i Julią ubóstwioną i tę dziewczynkę aniołka, która zowie się Maria Stella, jak się nazywał ów statek, który wywoził uwięzioną Fernandę do Kadyxu, statek pamiętny naszemu bohaterowi. Maria Stella była ową nicią tajemniczą, która wiązała mimowolnie hiszpankę do naszego bohatyra.

Mówiąc o szczegółach treści powieściowej, mówiliśmy już o całej piękności i artystyczności układzie, o życiu i rozmaitości jaką w niej panuje, o żywym i ognistym kolorycie nareszcie. Nie chcemy się więc powtarzać, mówiąc o ogólnem wrażeniu, jakie ta powieść po przeczytaniu wzbudzić musi. Jest to powieść, godna powieści najlepszych za granicą pisanych i wydawanych. Nawet te trochę polskich rysów, o których wspominaliśmy, nie odbiera jej tej barwy, zupełnie zagranicznej. I nawet niech nam to p. Tripplin przebaczy, zdaje nam się, że przetłumaczona na francuzkie może by się lepiej wydała, bo wszystko w niej piękne, i obrazy i zwroty dramatyczne, wszystko prócz języka, który nie wydał nam się zupełnie polskim, i wygląda prawdziwie na tłumaczenie z innego języka, tłumaczenie oddające wiernie piękności obrazów i myśli, ale zawsze tłumaczenie tylko. Jest to zapewne skutek konieczny długich po świecie wędrówek, i długiego obcowania z obcemi, których życiem żyjąc przymuszenie, wdrążył się w ich zwroty językowe.

Rozmaitość.

Bal u JEx. hrabiego Namiestnika. (Dokończenie.)

Pani z Mierów hrabiny Badeniowej suknia różowa z koronkami, girlanda zielona.

Pani z Komarów hr. Bąkowskiej suknia ciężka adamaszkowa, na jasnem tle duże bukiety i ubranie białe na głowie.

Pani z Kownackich hr.Borkowskiej, suknia biała, haftowane falbany w zęby; na głowie kwiaty różnobarwne.

Pani z Jabłonowskich hr. Fredrowej, suknia biała, przejrzysta haftowana, na żółtej ciężkiej jedwabnej. Girlanda z fijołków robionych, mających woń prawdziwą, jakby żywych kwiatów.

Pani Hausnerowej suknia z koronek brabanckich na *chamois* ciężkiej materialnej. Wolanty nadzwyczajnie piękne; na głowie prawdziwe kwiaty kameliowe i podobnyż bukiet.

Pani Gorajskiej suknia ciężka adamaszkowa popielata; berecik aksamitny wiśniowy z brylantami.

Pani z hr. Zeilern baronowej Hornstein, suknia gustowna gazowa różowa; na głowie girlanda z róż.

Pani z hr.Fredrów Karnickiej suknia biała *illusion* z bordurą drukowaną w złocie bardzo świetny efekt sprawiała; na głowie girlanda *pensée.*

Księżnej Sapieżyny suknia ciężka materyalna; na głowie ubranie bardzo gustowne z białej gazy z złotemi frenzlami.

Pani z Kickich hr. Starzeńskiej suknia biała gazowa, pelą haftowana; na głowie aksamitne kwiaty.

Pani Żebrowskiej suknia z ciężkiej materyi koloru *feuille morte* z wolantami wyrabianemi, przód obszyty koronkami; na głowie dyadem brylantowy i strusie pióra z zielonem liściem.

Śród tak licznego zebrania trudno było dostrzedz wszystkie piękne ubiory. Ręczyć więc nie możemy, czy i piękniejsze od tych nie uszły uwagi naszej.

Oprócz tego zapomnieliśmy donieść, że Cesarzewicz Jego Mość oprócz wymienionych tańców, tańczył walca z panią Zagórską.

Na wczorajszym spraszanym **balu na strzelnicy** zebrało się przeszło 300 osób i bawiło się ochoczo aż do godziny 5-tej z rana. Drugi z tych balów odbędzie się w poniedziałek dnia 6-go b. m.; aby nie uczynić uszczerbku balowi na korzyść szpitaliku zapowiedzianym na dzień 7 go w sali redutowej.

Drugi syn byłego księcia Mołdawii Michała **Stourdza**, książę **Jerzy**, opuścił nagle Jassy i wstąpił do służby tureckiej, gdzie teraz jest już jenerałem brygady. Książę Jerzy pobierał nauki w Berlinie, z tamtąd udał się w roku 1844 do Paryża, gdzie w salonach Aleksandra Dumasa zrobił znajomość z znaną autorką, hrabiną Dash, i zaślubił ją w brew woli ojca. Wkrótce potem odwiózł ją jej ojciec hrabia Danneberg do Mołdawii, ale panujący książe nie-

dał się ubłagać i młoda księżna odjechała napowrót otrzymawszy raz na zawsze znaczne wynagrodzenie. Ojciec przeznaczył był z początku syna swego do służby w armii rosyjskiej; ale po wypadkach w roku 1838 musiał sam uchodzić za granicę i osiadł w Paryżu, gdzie buduje teraz dla siebie przepyszny pałac. Powiadają, że Rotszyld miał powiedzieć o nim: Ja mam finanse europejskie w kieszeni, ale książe Stourdza ma mnie w kieszeni; gdyż wciągu swego panowania miał on corocznie składać u Rotszylda 70,000 dukatów. Jego małżonką jest to córka byłego księcia wyspy Samos, Nogoridesa, który w zagranicznym departamencie Porty znakomitą rolę odgrywa. Jego pierworodny syn zaś zaślubił najbogatszą dziedziczkę Mołdawii, pannę Kopaki, ale mimo to znajduje się teraz w bardzo krytycznem położeniu.

Z Londynu donoszą, że **stowarzyszenie pokoju** zwróciło nakoniec uwagę swoją na zatargi oryentalne i powzięło chwalebny zamiar ocalenia świata. W tym celu wysłało niedawno deputacyą pokoju do Petersburga, aby ofiarować cesarzowi rosyjskiemu swoje rozjemcze pośrednictwo. Deputacya ta składa się z panów Józefa Sturze z Birminghamu, Henryka Pease z Darlinston i jednego gentlemana z Bristolu, którzy wiozą z sobą cały ładunek najpiękniejszych *rószczek oliwnych*!

Cała Europa uskarza się na **zmianę klimatu**; gdzie było ciepło, tam teraz mrozy, a gdzie bywały mrozy, tam powietrze złagodniało. W Galicyi trzecia zima mija według nowego porządku natury. Śniegu skąpo, a choć wielki spadnie, prędko ginie; silne mrozy o 16—20 stopni, które dawniej większą część zimy trwały, dziś zaledwie 8—14 dni. Natomiast nastały u nas do tych czas nieznane mgły zimowe przy atmosferze 4—6° niżej 0. Te mgły są wielce nieprzyjemne nawet bardzo dla zdrowia szkodliwe, bo zawsze łączy się z niemi gatunek wilgoci ozimnionej mrozem. Z tąd zimno mamy nie tak zimne jak dojmujące. Jeźli, jak się zdaje, ta zmiana klimatu na zawsze pozostanie, musimy do niego zastósować nasze pokarmy i ubiory. Lecz przez tę reformę w naturze nic tyle co rolnictwo nie ucierpiało. Niezmiernie spóźniona, bo dopiero z majem rozpoczynająca się wiosna, uniepodobnia wczesne zasiewy jarzynne, które dościgając w wiele wychłodniałych miesiącach letnich, bardzo słaby plon wydają; zaś jesienne zasiewy, by najlepiej porobić, wyprzeje wilgotna zima.

Oto jest źródło epidemij i nieurodzaju w Galicyi. Jako szczegół musim dodać, że u nas od kilku lat niejako dwie wiosny zauważano: pierwsz a na początku kwietnia, trwająca tylko kilka dni; potem spadają śniegi lub ziemia zamarza na sucho aż do drugiej wiosny, która w maju rozpoczyna letnie półrocze.

Nowa gwiazda w dziedzinie poezyi! Pewien syn znakomitego obywatela tutejszego zawiązał stosunek miłosny, na którego uświecenie niechciał rodzic w żaden sposób zezwolić i w razie dalszego uporu zagroził synowi aresztem. Ale wierny Romeo niedał się bynajmniej odstraszyć tą groźbą i chcąc zapewnić o tem swoją Julią, z którą niemógł widzieć się osobiście, posłał jej następującą depeszę miłośną:

Dwa gołąbki w świecie,
Przecie
Nie kochały się,
Jak my się;
Za to mi ojciec, o zgrozo!
Zagroził kozą; —
Lecz byłbym cymbał,
Gdy go się — bym bał!

Wiadomości z Galicyi w Czasie i dziennikach wiedeńskich z ostatnich sześciu miesięcy: — Zaraza na bydło w Czortkowskiem w dwóch miejscach wybuchła. Zaraza w Stanisławowskiém ustaje, padło 11 wołów i dwie jałówki. — W Żółkiewskiem znowu pojawiła się zaraza, ale zato w Czortkowskiém już tylko w jednem jest miejscu. Pięć wołów zasłabło, dwa wyzdrowiało, dwa padło, jeden jest jeszcze słaby. W Galicyi prócz wołów niema nic więcej myślą sobie czytający te dzienniki!

W piątek na dochód panny **Radzyńskiej** dramat w 7 oddziałach pod napisem: **Podrzutki** (z francuskiego.)

Przyjechali dnia 30. i 31. do Lwowa:

PP. Dzieduszycka Paulina hr. i wł. dóbr, z Poturzycy. O'Donnel Henryk hr. i c. k. szambelan, z Bełzca. Stefanowicz Andrzej gr.-kat. pleban, z Jaryczowa. Zachariasiewicz Mikołaj dzw. dóbr, z Przemyśla. Zamojski Adam hr. i wł. dóbr, z Jarosławia.

PP. Bromiński Erazm wł. dóbr, z Tarnopola. Dzieduszycki Kazimierz hr. i wł. dóbr, z Niesłuchowa. Jankowski Ludwik dzw. dóbr, z Płotycz. Jarosławski Grzegórz wł. dóbr. z Postomyt. Kossowska Marya wł. dóbr. z Hnilczy. Lang Ignacy wł. dóbr, z Wolicy. Michalewski Antoni wł. dóbr, z Niedzielisk. Tchorznicki Konstanty wł. dóbr, z Sarnek górnych. Zajączkowski Józef kómornik, z Brzeżan. Zwolski Julian wł. dóbr, z Bryniec zagórnych.

Wyjechali dnia 30. i 31. stycznia ze Lwowa:

PP. Łoś Jarosław hr. c. k. komis., do Krakowa. Mier Feliks hr. i wł. dóbr, do Buska. Sanguszkowa Izabela księżna, i wł. dóbr, do Tarnowa. Starzeński hr. c. k. major, do Złoczowa. Teodorowicz Kajetan dzw. dóbr, do Stanisławowa.

PP. Badeni Aleksander hr. i wł. dóbr, do Borynicz. Bocheński Karol c. k. radc. gub. i starosta do Stryja. Ożarowski Konstantyn hr. do Olszanicy. Czaykowski Adolf wł. dóbr, do Bobrka. Dzierzanowski Emil wł. dóbr, do Czołhanicy. Glixelli Teodor wł. dóbr, do Glinian. Jaruntowski Jan i Antoni wł. dóbr, do Grzymałowa. Mochnacki Piotr wł. dóbr, do Łozina. O'Donnel Henryk hr. i c. k. szambelan, do Pilzna. Petrowicz Krysztof i Jakób wł. dóbr, do Czerniowic. Smolski Józef wł. dóbr, do Kobelnicy. Wysoczański Aleksander mandat. do Żółkwi.

Kurs lwowski.

Dnia 1. Lutego.	gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	49	złr.	5	kr.	52.
Dukat cesarski	»	5	»	52	»	5	»	55.
Półimperyał zł. rosyjski	»	10	»	10	»	10	»	13.
Rubel srebrny rosyjski	»	1	»	58	»	1	»	59.
Talar pruski	»	1	»	49	»	1	»	51.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	27	»	1	»	28.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . .	»	90	»	18	»	90	»	32.

Kurs telegraficzny z Wiednia 1. lutego o 2 g. popołudniu.

Amszterdam 106 1/2. Augsburg 126 5/8. Frankfurt 126. Hamburg 93 5/8. Liwurno 122 3/4. Medyolan 123 1/4. Genua. - Londyn 12. 16. Marsylia — Paryż 148. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. 30 3/4. Srebra agio 26. Pożyczka 5% 89 7/8. 4 1/2 79 7/8. Pożyczka lit. B. — Akcye banku 1307. Kolej północna 2290. Obl. ind. 5% —.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**